

# Kronika tygodniowa.

Jak po inne lata, zupełnie tak samo w roku bieżącym zawiódłem się w najpaskudniejszy sposób, oczekując na odwiedzin świętego Mikołaja, patrona potrzebujących i niecierpliwych. Zapomniałem znowu o mnie i mogłem śmiało powiedzieć, a raczej napiąć z głębokim bólem w rozszalonem sercu, iż nie jeden krakowski aprowizator przejdzie doczeka się świętego Michała, niż ja Mikołaja, choć obaj święci od jednej i tej samej litery się zaczynają.

W każdym razie muszę stwierdzić, iż oddanie się w opiekę jednemu z nich, nie jest tem samem, co orędownictwo drugiego. Zwłaszcza święty Michał, choć jest z urzędu uznanym za patrona Galicyi, przez niektóre osobniki z pośród nas wspomniany jest z pewną obawą, są nawet ludzie, którzy boją się imię Jego wypowiedzieć, by się to przypadkiem nie stało „w nieszczęśliwą godzinę“, na gmach zaś, ongi Jego czci poświęcony, spoglądają z należytym respektem.

Zwłaszcza pomiędzy naszymi „aprowizatorami“ jest wielu takich, którzy każdej chwili spodziewają się dostać pod Jego opiekuncze skrzydła, a raczej w gościnne mury, gdy zaś wieść podobna rozejdzie się po mieście, inni zawołowi koledzy kiwają tylko głowami i powtarzają sobie w duchu:

— Co dziś tobie, jutro mnie!

Ale niestety i to ich nie odstrasza, spekulują dalej, aż do tej nieszczęśliwej chwili, w której się im noga powinie. Na to się jednak ma głowę — tak przynajmniej powiadają — by nadejście owej chwili o ile możności jak najbardziej od siebie oddalić. Nieszczenie przecież, jak powiada przysłowie, chodzi po ludziach, nie po lesie, stąd też i podwoje gmachu świętego Michała, gdzie mieści się krakowski kryminal, otwierają się stosunkowo dość często na przyjęcie obywateli, dla dobra ogółu zasłużonych. Na domiar mamy jeszcze bardzo grzecznego pana prokuratora, który zaraz prosi gościa siedzieć, gdy go tylko w swem biurze zobaczy, choć ów zaproszony dałby wiele zato, by być raczej sromotnie za drzwi wyrzuconym.

Do czasu jednak dzbanek nosi wodę! Złarza się też czasem, że i był aprowizator znajdzie się w ulu i otrzymuje tu zupełnie bezpłatny wikt, mieszkanie, nawet opierunek. Tutaj w miłej zgodzie łączą się ze sobą wszystkie wyznania religijne, przekonańa polityczne, ba, nawet obie płci cieszą się najzupełnijszym równouprawnieniem.

Wracać mi przecież należy do świętego Mikołaja, gdyż zaczynam się obawiać, bym przypadkiem niebacznie nie nadużył cierpliwości Jego świętego Współtowarzysza, dowódcy niebieskich zastępów, a zarazem patrona Galicyi i Lodomerii oraz niektórych krakowskich „aprowizatorów“.

Noc z dnia piątego na szósteo grudnia przespałem snem sprawiedliwych. Jest to pora, przeznaczona od wieków na odwiedzin świętego Mikołaja, każdy więc, choć sen odeń ulata, udaje bodaj, że spi, by świętemu Patronowi nie przeszkodzić przy operacji podkładania tak upragnionych darów. Natomiast rano zrywa się każdy i każda, przynajmniej o godzinę wcześniej niż zwykle, i zagląda najpierw pod poduszkę, potem nawet pod łóżko. I ja uczyniłem tak samo. Ale pod poduszką pustki, pod łóżkiem także nic, prócz pantofli. Charowanych mi przed laty przez kolegów redakcyjnych w dwudziestą piątą rocznicę mych godów małżeńskich.

Zapomniałem o mnie widocznie święty Mikołaj, albo nie znał mego adresu, choć jestem, jak się patrzy, w policyi meldowany, na co ma nawet urzędowe potwierdzenie. Pocieszam się przecież tą myślą, że stało się to po raz nie pierwszy i nie ostatni i że to, co zawiódło w tym roku, może się spełnić w następnym, za lat dwa, trzy i tak dalej. W każdym razie lepiej późno, niż nigdy! Wychodząc z tej zasady, nie tracę też nigdy otuchy i z taką samą zupełnie cierpliwością oczekuję naprzykład odwiedzin listonosza pieniężnego, który też stale omija moje progi.

Ze jestem cierpliwy, na to zreszta dowód najlepszy, iż od tylu lat czekam na nagrodę Nobla i bynajmniej nie straciłem nadziei, że ją przecież kiedy dostanę, wszystko mi jedno, czy z zakresu literatury, medycyny, chemii czy fizyki, albo też pokojową. Przeznaczonych specjalnie dla kronikarzy niema, gdyby bowiem ś. p. Nobel nie był o nich zapomniał, z pewnością dawno już byłbym laureatem, choć nie tyle mi się o one laury rozchodzi, co o ów maruy kruszec, będący stałym ich dodatkiem. Roszczę sobie zaś pretensje do każdej z nagród, gdyż przecież „robię“ w literaturze, gdy jestem chory, radzę sobie, a i innym też rad nie skąpie, chemią i fizyką zajmuję się bardzo gorliwie, potrafiąc nawet bańki nosem puszczać i będąc

na najlepszej drodze do rozwiązania problemu *perpetuum mobile*. (Ja już go rozwiązałem!... Jest to język starej baby!... przyp. zera) pokojowa nagroda byłaby mi mimo to najprzyjemniejszą i najbardziej pożądaną ze względu na okoliczność, iż ów monetarny do niej dodatek jest stale na większy. I zupełnie słusznie!... Uczony chemik lub fizyk, który poza swem laboratorium świata nie widzi, pieniędzy też nie potrzebuje, propagowanie natomiast pokoju połączone jest z najrozmaitszymi wydatkami, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy bomba piwa kosztuje co najmniej koronę, a kieliszek wódki nawet dwa razy tyle! Wiadomo zaś, że rozprawy pokojowe prowadzi się zwykle nie na sucho, oraz, że „kto smaruje, ten jedzie“. Dziś brak nam tłuszczyków, choć są tłuszczykowe karty, więc chcąc mieć pokój, trzeba smarować bodaj czemś płynem, a to dużo kosztuje.

Na razie nie spodziewam się zostać tak rychło laureatem Nobla już choćby z tej prostej przyczyny, iż narody północne, nagrodami owymi dysponujące, z pewną niechęcią odnoszą się do państw centralnych. Zaostrzenie nastąpiło zwłaszcza od chwili dojścia do rządów pana Brantinga, który odmówił Niemcom dostawy śledzi, choć obiecywali w zamian węgiel, cukier i inne podobne specjały. Obejdziemy się przecież bez śledzi, skoro tak być musi, nasze „prawdziwe wiedźnie moskale“, rodem z Rudawy, są bardzo smaczne, choć kosztują już po czterdzieści lub pięćdziesiąt halerzy za sztukę i mogą nam zupełnie dobrze zastąpić szwedzkie i norwęgskie ryby, zwłaszcza że oba kraje, dochowując neutralności, przytężyły nam tylko to, czego same zjeść nie mogły, a kto inny nie chciał kupić, więc towar zły i zepsuty.

Czy z tym zakazem eksportu ryb do środkowej Europy stoi w jakim związku brak zapasów szwedzkich u nas i ich podrojenie, tego dotąd nie zdolałem sprawdzić, stwierdzam tylko z obowiązku kronikarskiego, iż mocarstwa centralne nie mają widocznie szczęścia do litery „b“. Z dowód niech służy Bratiansu, Bachanau, a świeżo Branting, wszyscy zdeklarowani zwolennicy koalicji.

Zupełnie to samo można powiedzieć o kochanym Krakowie, bo każde stworzenie, czy ono żyje, czy nie, ma swego mola, co je gryzie. Ta tylko różnica, że gdy mocarstwa centralne nie mają szczęścia do litery „b“, dla podwawelskiego grodu feralum jest „a“. Nie tak dawno głośną była sprawa asenterunka, teraz znowu bardzo brzydko mówią o aprowizacji. Nie powtarzam tego, com słyszał, nie dodaję do tego zwyczajem krakowskim od siebie znowu tego, czego nie słyszałem, jeśli się jednak czego dowiem, to przy sposobności o tem wspomnę.

I znów odszedłem od tematu, którym miał być i będzie święty Mikołaj. Wracam więc do niego i po kilka słów poświęcę tym szczęśliwcom, którzy przez świętego Patrona zostali obdarzeni, jeśli nie w samą uroczystość, to bezpośrednio przedtem, lub potem.

W pierwszym więc rzędzie stoją nasi pacyfści, tak teoretycy, jak i praktycy, którzy otrzymali na razie dziesięciodniowe zawieszenie broni z Rosją i zapowiedź, że dalszy ciąg nastąpi. Jaki on będzie, tego nie wiemy, w każdym razie nikt nie zabroni nam żywienia nadziei, że wojna zaczyna się kończyć. Czy się jednak tak rychło skończy, to pytanie, na które dopiero przyszłość może dać odpowiedź. Kwestya ta wychodzi daleko poza kompetencję kronikarza *Nowości Ilustrowanych*, choć wiele osób oświadcza, że dopóty w koniec wojny nie uwierzą, dopóki z tego źródła nie dowiedzą się o tem.

Kronikarz jest przecież, był i będzie nadal neutralnym, a o pokój zaczął pisać dopiero wtedy, gdy się już rozpoczyna pertraktacje.

Ze za Rosją półś powinna i Rumunia, o tem niema dwu zdań. Z chwilą, gdy Rosya ściągnęła swe wojska z rumuńskiego frontu i odmówiła dowozu żywności, nie pozostaje Rumunom nic innego, jak przyznanie się do winy, że zrobili kapitalne głupstwo, pechając palce między drzwi. Jeśli i oni nie poproszą o zawieszenie broni, tymczasem Mackensen może im bardzo łatwo wleźć w kapustę.

Na giełdzie towarowej wiadomość o zawieszeniu broni i grożącym ewentualnie pokój, choćby tylko odrębnym z samą Rosją, wywarła wprost deprymujące wrażenie. Jak wiem z ust mej czcigodnej Weroniki, spadły nagle ceny kawy i maki żytniej (ale nie magistrackiej, bo tej brak w dalszym ciągu!), aprowizatorzy chodzili jak struci, mczem biedna mysz, gdy, w braku innego pożywienia, obje się trucizny bakcylowej.

Spotkałem jednego z nich onegdaj, a widząc, że coś mu dolega, pytam o przyczynę.

Popatrzył na mnie, jak na roroga, i powiada:

— I czego ja się mam cieszyć?... Mało to pieniędzy włożyłem w towar?... Niech on kieszki polemie za moją krzywdę!

— Kto taki?

— Nn! A któżby, jak nie ten z przeproszeniem, ludowy komisarz od spraw zagranicznych, Trockil... I to ma być człowiek od naszej wiary, a robi tak, że tylko my mamy z tego szkodę!... Kiereński, to zupełnie co innego!... To człowiek z charakterem, to też ja wierzę, że *Kurgerek* napisał prawdę, iż jest on synem od pana Fajwusia. On wiedział dobrze, że teraz nie jest jeszcze czas na żaden pokój.

— Ale lud żala pokój! — ja mu na to.

— Co za lud?... Jaki lud?... Czy ten lud włożył co gotówki do tego interesu?... Co takie głupie chamy mają gadać?... To jest, powiadam panu, całe nieszczęście, jeżeli się do rzeczy zabierają ludzie, nie mający o tem pojęcia!

Takich niezadowolonych jest wprawdzie sporo, ogół cieszy się przecież, że zaczyna świtać pokojowa jutrzienka, choć, aby temu kłam zadać, wujaszek Wilson wypowiedział nam wojnę na lądzie, wodzie i w powietrzu i czeka tylko na nowoczesnego Mojżesza, aby osuszył duo morskie i przeprowadził jego zastępy.

Jak się to wszystko skończy, trudno dziś przewidzieć. Nie myślę się bynajmniej bawić w stawianie horoskopów na przyszłość, zwłaszcza, że zaznaczyłem już kilka razy, iż każdy dzień może nam przynieść niespodziankę. Ze jednak w Rosji prąd pokojowy jest górami, a wojna już się wszystkim przejadła, to zdaje się być zupełnie pewnem. Cieszymy się więc nadzieją, że nastaną lepsze czasy, oby jak najprędzej, zanim jeszcze wypuścimy z siebie dech ostatni.

Koalicja nie jest „w sosie“, w to wierzę, ale jej też i nie na to nie poradzę, kto bowiem wierzy w siebie, ten musi, a przynajmniej powinien być na to przygotowanym, że przyjdzie mu zbierać burzę. A może właśnie teraz zbliża się to żniwo dla koalicji.

W dalszym ciągu względami świętego Mikołaja cieszą się nasi panowie stróże, czyli dozorczy domów, którzy wprawdzie śniegu nie sprzątają, ale zato bardzo punktualnie zamykają wieczor bramy, by przypadkiem „szpera“ nie przepadła. Dla nich rozpoczęły się obecnie czasy błogosławione od chwili, gdy, ze względu na oszczędzanie światła, kazano zamykać bramy już o godzinie od ewiastej. Jeśli które rozporządzenie, to właśnie to, wykonywane bywa z największą dokładnością. Obecnie starają się stróże o to, aby i u nas pójść za przykładem Berlina i nakazać, aby wszyscy mężczyźni, w wieku od lat szesnastu do sześćdziesięciu, obowiązani byli do zajęcia się uprzątnięciem śniegu z przed domów, które zamieszkują. Pan stróż, jako fachowiec, wyznaczałby tylko kolejny porządek dla pracowników i kierował technicznie robotami. Zajęcie to podciągnęło w Berlinie, o ile można wierzyć pismom codziennym, pod rubrykę świadczeń wojennych i włożono w rękę miotłę lub szufłę tym, których komisye przeglądowe uznały za niezdolnych do noszenia karabinu.

Wiedząc o tem, że za przykładem Berlina i u nas można się, jeśli nie prędzej, to później, spodziewać tej innowacji, zaczynam się już pierwszy kłaniać na ulicy memu stróżowi, by w danym wypadku zyskać sobie jego względy, a panią stróżową witam stale słowami:

— Całuję rączki pani dozorczyńni dobrodziejki!...

Słuszność wymaga, aby, skoro lokatorzy mają wyreczać stróża w jego urzędowych czynnościach, mieli też za to i jakieś wynagrodzenie, dajmy na to, prawo do poboru „szpery“ raz lub dwa razy w miesiącu, by sobie można było kupić bodaj miotłę, gdyż stróż jej z całą pewnością nie dostarczy.

Trzecie wreszcie miejsce w rzędzie obdarowanych przez świętego Mikołaja stanowią nasi saneczkarze, užívający ku swej ucieście a utrapieniu ogółu w całej pełni przyjemności sportowych, niestety, w najbardziej uczęszczanych miejscach, więc na wszystkich, trochę bodaj spadzistych ścieżkach miejskich plantacji. Przeciwnikiem sportu bynajmniej nie jestem, pragnąłbym jednak, aby uprawiany był na swoim miejscu i w swoim czasie, dlatego też byłbym bardzo wdzięczny tej władzy, która raczyłaby zarządzić rekwizycję saneczek, o ile używa się ich w niewłaściwych miejscach. Ztrowie nł dęgo pokolenia z pewnością nie na tem nie cierpi, a ogół wyjdzie na tem tylko dobrze. To samo dotyczy także i łyżwiarzy, którzy za miejsce swych popisów obrali sobie chodniki uliczne, zwłaszcza po przedmieściach. Jeśli się zważy, jak rzęsiście jest obecnie oświetlenie naszych ulic w porze wieczornej, nie należy się bynajmniej dziwić, gdy się trafi na należycie wyglądzone przez sportowców miejsce i, straciwszy na niem równowagę (broni Boże, nie moralną!...) wyciągnie się na chodniku swą ciałną powłokę. Dobrze jeszcze, jeśli się na tem skończy, ale trzeba i to mieć na względzie, że przy tej sposobności można bardzo łatwo złamać rękę lub nogę, albo nawet skrócić kark, czego nie tylko sobie, ale i największemu memu wrogowi nie życzę i dlatego o tem wspominam, by uprzedzić odnośne rozporządzenie magistratu, które może się pojawić w maju lub czerwcu, gdy o śniegu i lodzie już zapomnimy.